

Nazywam się Roman Burzyński. Urodziłem się 26 września 1929 roku.

Imiona rodziców to Antoni i Antonina - ~~s~~ domu

Matka pochodziła z "polskich kresów" - urodziła się w Lechanach.

Ojciec był rodowitym warszawiakiem, w Warszawie się urodził, wychował, tutaj miał całą rodzinę. Później znalazł się na kresach. Podobno został tam wysłany do pracy. Tam poznał matkę i osiadł na stałe.

Wywodzę się ze środowiska, które można nazwać inteligenckim, ponieważ mój ojciec był urzędnikiem na kolei. Coś podarstwa ^{rolnego} żadnego nie posiadaliśmy. Mieszkał w mieszkaniu wynajmowanym na pół służbowo a na pół prywatnie. Przed wojną miałem dziesięć lat, więc do tego czasu ukończyłem jedynie trzy klasy szkoły powszechnej.

Do żadnych partii politycznych nie należałem, chodziłem natomiast chyba do jakiejś organizacji typu "zuchy - harcerstwo". Urodziłem się w Baranowiczach, jest to miejscowość na Kresach, na terenie tzw. Polski "B".

Przed wojną mieszkałem w miejscowości Niemen nad rzeką Niemen! Kiedy ¹⁹³⁹ poszliśmy 1 września do szkoły, pani powiedziała, że byśmy szli do domu, ponieważ szkoły nie będzie. Oczywiście nastąpiła wielka radość, bo nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego co to jest wojna. Jak wspominałem mieszkał niedaleko rzeki Niemen. Był tam most kolejowy. Chyba tego samego dnia - 1 września nadleciały nad ten teren dwa samoloty. Dorosli mówili, że to niemieckie samoloty. ~~T~~ Z tym, że te samoloty tylko przeleciały, nie było żadnego bombardowania, ale sam ten przelot wywołał wielkie zdenerwowanie wśród ludzi. Samoloty te tylko przeleciały nad naszym terenem i wszystko się uspokoiło. Ludzie też jakos odetchnęli.

Minał jakiś czas. Teraz dowiedziałem się, że było to 17 września.

Obudziliśmy się rano i usłyszeliśmy piosenki: "jeśli zawtra wojna, katusza" itd. Przyszło wojsko sowieckie. Na takim dużym placu, koło parkanów było dużo koni, uzbrojenia. Po mieście chodzili Rosjanie, dzisiaj wiem, że byli to kwatermistrzowie, którzy wszędzie wprowadzali swoich oficerów.

Nam także naturalnie natychmiast kazali opuścić ten domek, w którym mieszkaliśmy. Dali nam takie zastępcze siedlisko. Nie pamiętam czy było to tego dnia czy może następnego. Przeniesiono nas na teren posiadłości miejscowego ogrodnika. Ogródnik ten mieszkał nie daleko, miał dużą posiadłość, na której chodował warzywa. Na swoim terenie miał on domki dla swojej służby, która u niego pracowała. Rosjanie, którzy nas wykwaterowali, przenieśli nas do tych domków. Miejscowi ludzie zaczęli rabować majątek tego ogrodnika, bo on gdzieś widocznie uciekł. Ludzie wynosili z jego domu wszystko, rozkradli cały jego dobytek, rozgrabili cały majątek. Ja byłem razem z matką i siostrą, bo ojciec bodajże 4 dni przed wybuchem wojny powiedział, że idzie na manewry. Został po prostu zmobilizowany do wojska. Wtedy nie było jeszcze nic wiadomo o zbliżającej się wojnie, z tym, że matka coś przeczuwała, bo pamiętam, że był płacz. Ojciec do tej pory nie wrócił z tych manewrów. Nigdy nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Ponieważ było nas tylko trójce przydzielono nam jeden pokój. Moja matka miała w pobliskiej miejscowości - Stołowicze koło Baranowicz - brata. Jak przyszli Rosjanie to matka porozumiała się z nim. Był to już chyba październik gdy przyjechał wujek Kazik. Zabrał on nas do siebie do Stołowicz. Tym sposobem zaczęliśmy mieszkać w Stołowiczach. Niedługo potem zjawiała się tam też siostra mojej mamy - ciocia Frania, która pracowała w Słonimie w szpitalu. Wszyscy zjechali się więc do wujka Kazika. Miał on swój mały domek, w którym były dwa pokoje i kuchnia. W gospodarstwie posiadał krowę, chyba też jakiegoś świniaczka i konia. Matka pracowała w Stołowiczach początkowo w czymś takim jak kołchoz. Potem zrobili tam jakąś spółdzielnię i wtedy tam zaczęła pracować. Ja pasłem krowy. Ponieważ życie było ciężkie, więc i ja musiałem pracować. Tym sposobem zostałem pastuchem. Rano gospodarze z całej ulicy, na której początkowo było 12 a potem 20 chałup, wyganiaли krowy na ulicę a ja prowadziłem je na łąkę i pasłem. Wstawalo się wtedy o czwartej rano. ~~W p... o sie krowy do za-~~

W południe przyganiało się te krowy do zagród, żeby gospodynie mogły je wydoić. Czasem dostawało się za to trochę mleka a czasem trochę kartofli. Był to poważny dodatek do naszych zasobów spożywczych. Potem matka zaczęła pracować w rzeźni. Stamtąd przynosiła różne podroby, np. takie brudne flaki, które były potem czyszczone w domu. Pamiętam wujek pracował we młynie, to przyniósł czasem trochę mąki. Także można powiedzieć, że żyliśmy sobie biednie, ale nie najgorzej, bo było nawet co jeść.

Był luty 1940 roku. Był bardzo duży mróz. Wtedy nastąpił pierwszy wywóz Polaków. W pierwszym rzucie wywieziono ludzi, których nazywano osadnikami. Byli to byli Legioniści - żołnierze Piłsudskiego, którzy dostawali duże majątki ziemskie natych wlasnie ziemiach wschodnich. Właśnie ich rodziny były wysiedlane jako pierwsze. Pamiętam jechali saniami, ciągneli dobytek końmi. Ponieważ Baranowicze i z tych okolic było do stacji ponad dziesięć kilometrów to szli tacy wymęczeni. Najbardziej zapamiętałem te wymęczone małe dzieci, ich płacz. Pamiętam u nas też i ciocia i wujenta tak współczuły tym wszystkim rodzinom. Panowała atmosfera nieszczęścia. Na tym wywozie wtedy się skończyło, jakoś ucichła ta sprawa.

Przyszło lato 1941 roku. Pamiętam mijał maj, zaczął się czerwiec. Którejś nocy - było to chyba 19 czerwca 1941 roku zapukano i do nas. Pamiętam, że matka od razu się zerwała na równe nogi, zaczęła coś chować. Ja też natychmiast się poderwałem z łóżka. Jako 12 letni chłopak dużo już przeczuwałem. Był to po prostu taki czas, panowała atmosfera niepokoja, niepewności wśród ludzi. Udzielało się to także dzieciakom. Jeszcze jak przez sen słyszałem jak matka pyta się: kto tam? Na to pytanie padła odpowiedź - otwierajci NKWD. Pamiętam wpadko ich dwóch. Wszystkie światła zapalili, zerwali wszystkich na równe nogi. Zapytali czy mieszka tu Burzyńska Antonina, kazali się zebrać. Mieliśmy na to tylko dwadzieścia minut.

Można było spakować tyle rzeczy ile się zdażyło i ile zdołało się udźwignąć. Oni w tym czasie jeszcze szukali czegoś u nas w domu. Złapali jakąś poduszkę, w której matka trzymała jakieś papiery, wybrali z niej wszystko. A ja byłem taki sprytny jak się okazało. Stałem koło takiej komody, na której w torebce leżały różnego rodzaju zdjęcia rodzinne. Wszystkie te zdjęcia włożyłem sobie pod kossulę i tak je trzymałem. Tym właśnie sposobem te zdjęcia przetrwały do dzisiaj. Inaczej i one zostałyby zabrane. Tak więc nam kazali szybko spakować najpotrzebniejsze rzeczy, a wujkowi kazali zaprzęść konika i zawieść nas na stację do Baranowicz. Przedtem trzeba było podjechać do gminy. Było tam już bardzo dużo furmanek, ludzi, bo przy gminie organizowano transport. Całą tą grupą ludzi pociągnęli na stację kolejową w Baranowiczach. Na stacji stały i czekały na nas już wagony towarowe. Załadowano nas właśnie do tych wagonów. Wagony były otwierane z obu stron - jak zwykle to bywa w towarowych. Po obu stronach były porobione półki - prycze. Niestety można było na nich tylko, leżeć, tak gęsto były ułożone. Ewentualnie dziecko mogło na tych pryczach siedzieć. Stać można było tylko po środku wagonu - na szerokości drzwi. W rogu była wypuszczona rura, która zastępowała ubikację. Potem w podróży kobiety zaskoniły nieco ten kąt. Pamiętam, że w podłodze była taka dziura, która mnie jako młodego chłopaka kusiła. Pewnego razu kładąc tak po wagonie wsadziłem rękę w tę dziurę. Był tam drucik, który oczywiście pociągnąłem. W tym samym momencie usłyszałem syk. Okazało się, że spuszczałem powietrze z hamulców. Kiedyś zrobiłem to na stacji - bawiłem się spuszczeniem powietrza. Naraz poczułem jak mi coś na rękę chlapnęło. Patrzę a tu cała ręka w mazi. Najprawdopodobniej dostałem po łapach, żeby oduczyć się takich zabaw. Może była to głupia zabawa, ale my po prostu nudziliśmy się w tej podróży. Niestety nie wszyscy mogli patrzeć przez okna, bo były tylko 4 okienka i 40 osób chętnych do patrzzenia przez nie. Starsi mniej się nudzili, bo sobie rozmawiali, często modlili się,

wspólnie zastanawiali się gdzie nas zawiozą, co z nami zrobią, gdzie trafimy. Do każdego z wagonów pakowali na stacji w Baranowiczach po 50-60 osób. U nas było wyjątkowo luźno, bo było nas tylko 40 osób. Był taki moment charakteryzujący psychikę ludzką. Okna w wagonach były gęsto zadrutowane, a wujek Kazik chciał nam przynieść na drogę może coś do picia. Pobiegł gdzieś do znajomych, którzy nie daleko mieszkali i przyniósł stamtąd olbrzymi słoje herbaty. Co prawda cały transport był pilnowany przez Rosjan, ale wujek podszedł do naszego wagonu i próbował podać nam przez to zakratowane okienko ten olbrzymi baniak - taki jak do robienia soków i win. Matka szarpała za szyszkę ten gąsior, ale nie mogła przecie przeciągnąć przez zakratowane okienko, nie mogła go też długo utrzymać, bo był ciężki, więc puściła go. Pamiętam jak ten baniak rozbił się a cała herbata rozlała się po ziemi.

Jeszcze tego samego dnia, ale już wieczorem cały transport ruszył w drogę. Dojechaliśmy do Smoleńska. Tam podchodzili do naszych wagonów Rosjanie i mówili: "widzcie sato wojna, Niemcy na nas napali". Był to 22 czerwiec 1941 rok. Pamiętam, że jak nas potem dalej wieźli przez Rosję to na przeciwko naszego transportu cały czas, dosłownie co pięć minut z zegarkiem w ręku gonili transporty wojskowe. Jechali Rosjanie - młode chłopaki, uzbrojenie, komie, czołgi, armaty. Żołnierze śpiewali, grali na harmoszkach. Wszyscy byli podpiści, weseli, jak to młodzi ludzie, nieświadomi, że jada na śmierć, jakby nieświadomi tego co znaczy wojna.

Nasz transport jechał środkiem Rosji. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy nasz pociąg. Stawaliśmy na większych stacjach jak np. Tuła, Kujbyszew, Czelabińsk. W czasie postoju z każdego wagonu wychodziło po dwóch ludzi z kubkami i przynosili jakiejś supy albo wody, bo picia też nie było. Pamiętam, że kobiety miały święconą wodę, bo niektóre też wodę święconą zabierały ze sobą. Maczały więc szmatki

w święconej wodzie i takim dzieciakom jak ja i moja siostra (młodsza o dwa lata) przecierały nam nimi usta. Tak więc na stacjach przynosili po 4 wiadra nędznej zupy albo kipyatku (wrzątku). Tej zupy jak pamiętam dostaliśmy w ciągu dwóch tygodni może pięć razy tzn. mniej więcej po drugi dzień. Oprócz tego, jeśli chodzi o transport, byliśmy trzaz w kąpieli. Kąpiel ta była w Kujbyszewie. Była tam taka bania w której się myliśmy. Pociąg przyjechał pod jeden z peronów. Wszystko było obatawione przez wartowników. Kolejno wagonami wysiadaliśmy do mycia. Jak jeden wagon się umył, to pakowali tych ludzi z powrotem do wagonu a wypuszczali tych z następnego. Ubranie oddawaliśmy do parówki, bo po jakimś czasie pojawiły się wazy. Były to jedyne zabiegi sanitarne w całej podróży.

~~Cały nasz transport, czyli ludzi z 72 wagonów~~

Jechaliśmy dzień i noc przez dwa tygodnie, może nawet nieco dłużej. W końcu połowie lipca dojechaliśmy do miasta Aczińsk w Krasnojarskim Kraju. Tam zakończyła się nasza podróż - tam nas wyładowano. Cały nasz transport czyli ludzi z 72 wagonów wyładowano na wielki plac. Koczowali na nim wszyscy ze swoimi tobożkami, walizkami, kuframi - z tym co każdy zdążył przez te dwadzieścia minut, które miał na zbranie się zabrać. Było na tym placu więc około 3 500 ludzi. Byli to Polacy z okolic Baranowicz - z tego powiatu. ~~Cały~~ Nasz transport był pierwszym transportem, który tam dotarł. Cały został rozładowany w Aczińsku. Dopiero stamtąd ludzie byli rozwerzeni w różne miejsca, z tym że podobno wszyscy pozostali na terenie Krasnojarskiego Kraju. Wogóle były tam bardzo różne rodziny : wojskowych, kolejarzy, policjantów, urzędników państwowych. Można więc powiedzieć, że był cały przekrój społeczny. Nawet rolników wywozili. Mówiąc o rolnikach mam na myśli tzw. obszarników, osadników przedwojennych, takich którzy mieli po 30- 50 hektarów. Z tym, że między nami chyba takich nie było. Oni byli wywiezieni w większej części w pierwszym rzucie i z reguły w rejon Archangielska czyli na tzw. białe niedzwiedzie. Ale wydaje mi się, że nie było różnicy

kim kto był, czy robotnikiem czy inteligentem. Wywozono wszystkich Polaków. Nie miał znaczenia też wiek ludzi. Wywozono po prostu całe rodziny. Byli więc ludzie w bardzo różnym wieku, począwszy od małych dzieci - takich w pieluszkach, na rękach a kończąc na ludziach na prawdę starych.

Na terenie na który zostaliśmy wysiedleni było już dużo ludzi wcześniej wysiedlonych przez Rosjan. Byli tam ludzie z Leningradu, chyba też z Moskwy, Tuli, Kujbyszewa, Stalingradu. Było też trochę Finów. Znalismy jedną taką rodzinę, z północnej republiki Koreo-Fińskiej. Z miejscowej ludności najczęściej było Tatarów, Kazachów, Mongołów i Niemców Nadwołżańskich. Nawet w szkole obowiązkowym językiem obcym był język niemiecki. Większość tamtejszych ludzi ~~za~~ pracowała w kołchozach. Niewielka część pracowała w zakładach pracujących na rzecz wojska - szyli buty, suszyli ziemniaki. Ale wogóle to przemysłu prawie tam nie było.

Wszyscy ludzie z ~~z~~ transportu, jak mówiłem zostali wyładowani na tym dużym placu w Aczińsku. Nie pamiętam dokładnie ile dni siedzieliśmy na tym placu. Ale na szczęście była piękna pogoda, więc nawet nie marzliśmy i nie mokliśmy. Po tym placu chodzili kupcy, którzy brali ludzi do różnych kołchozów, przedsiębiorstw. Wybiarali oni spośród wszystkich rodzin z transportu, ludzi potrzebnych im do pracy. Ludzie ci przyjeżdżali swoim transportem (koniem albo "zisipiaczem"), ładowali na to ~~im~~ wybranych przez siebie ludzi i wywozili ich. Nie znam losu tych ludzi. Nigdy nikogo z tego transportu już potem nie spotkałem. My siedzieliśmy dosyć długo na tym placu, bo ~~na~~ do wielu rzeczy może się przydać matka z dwójką dzieciaków. Ale na nas też przyszła pora. Zebrało się nas razem pięć rodzin : Połec, K Jakubowscy, Biłdziukiewicz(~~z~~ nie pamiętam jak nazywali się jedni z nas). Załadowali nas na samochód, który wiózł jakiś worki, nie pamiętam z czym one były. Wieźli nas z Aczińska

około 50 kilometrów. Zawieźli nas do "zagodskotu". Zagodskocz jest to punkt zbiorczy bydła. Było tam spędzane bydło, które kołchozy oddawały dla państwa na rzeź. Zanim bydło zabrano na rzeź trzeba było je karmić, doić i doglądać. Ten "zagodskocz" był położony w tajdze, nieddaleko przepływała niewielka rzeczka Ołyj. Stały tam tylko trzy obory i dwie małe drewniane chałupki. W jedną z nich wpakowali nas wszystkich tzn. pięć rodzin. Były tam dwa pokoje, a całość miało może razem powierzchnię około 50 m². Ciężko nam się tam żyło na początku. Było nam ciasno w tym domku. Spało się tam na podłodze. Kto co miał rzucił sobie na podłogę. Różne to były rzeczy, jedni rzucili sobie na ziemię jakąś derkę, inni kawałek kapoty. Pod to mężczyźni skombinowali jakąś słomę, trochę siana wzięło się od bydła. Tak się tam spało. Na szczęście było bardzo ciepło, bo był to lipiec. Wogóle jest tam taki klimat, że w tych letnich miesiącach, czyli od czerwca do sierpnia, jest zawsze ciepło i sucho. Klimat jest po prostu łaskawy, lata są tam zawsze cudowne, natomiast zimy niestety bardzo surowe. Tak tam spaliśmy na podłodze pokłtem jeden obok drugiego. Nie pamiętam dokładnie, ale żyliśmy tak około roku. Warunki zmieniły nam się dopiero po ustawie zezwalającej poruszać się nam po terenie ZSRR. Wtedy zreszta rozproszyli się wszyscy..

Chyba w pierwszy albo drugi wieczor zebrali się razem wszyscy dorośli. Rozpalili wielkie ognisko i zaczęli śpiewać Rotę, potem wspominali, rozmawiali. Zwłaszcza ta początkowa scena była bardzo wzruszająca, taka przejmująca i chwytająca za serce. Człowiek był młody to inaczej to przyjmował niż dorośli, ale też jakoś tak dziwnie na duszy się robiło.

Minał jakiś czas, chyba miesiąc. Przyjechało NKWD. Zebrali nas wszystkich tzn. te pięć rodzin i odczytali nam taki "prikaz", że w tym miejscu i z tego miejsca, w którym jesteśmy nie mamy prawa przez dwadzieścia lat nigdzie się ruszać. Oznaczało to, że mamy przez te dwadzieścia lat tam siedzieć, mieszkać, pracować. ~~Było~~

To było, wszystko co nam powiedziano. Nie wiedzieliśmy nic więcej. Nie dostaliśmy żadnych dokumentów, nie usłyszeliśmy żadnych wyjaśnień. Naturalnie ogarnęło nas wszystkich ogromne przygnębienie, bo bardzo trudno było nam się pogodzić z tą myślą. W zagodskocie było tylko te pięć rodzin polskich i dosłownie kilku Rosjan, bo była przecież wojna, więc młodzi mężczyźni poszli na wojnę. Był tam diadia Wania, oprócz niego jakiś "zawiediejuszczij kommandir" - taki kulawy mężczyzna. Razem było ich chyba 4 czy 5 Rosjan.

Tutaj także przytrafiło mi się być pastuchem. Takie jakieś miał człowiek szczęście w młodości. Przyszło mi paść bydło, z tym, że zwiększyło się moje stado - miałem teraz pod opieką ponad 40 cielaków. Moje stado było takie duże, bo często krowy cielikiły się i wtedy cielaki zostawało w zagodskocie, a bydło normalnie szło na rzeź. Cielaki rozkładały mi się po tajdze. Różne były historie z tymi cielakami.

Życie było bardzo ciężkie. Początkowo tzn. w 1941 roku dostawaliśmy chyba po 400 gram chleba dla jednego człowieka. Nic więcej nie dostawaliśmy. Poza tym trochę się handlowało. Ale to właściwie tylko na początku, jak mieliśmy jeszcze jakieś rzeczy do wymiany. Był to typowy handel wymienny. Niedaleko naszego zagodsk tu był miasteczko, które nazywało się Bolszoi Ułuj. Mieszkało tam około 3 000 ludzi. Ci właśnie ludzie przyjeżdżali do nas (najprawdopodobniej do nich też trafili Polacy z naszego transportu) i rozpoczynał się handel. Za parę kilo kartofli, parę kilo maki kupowali od nas np. ubrania. Matka wymieniła na jedzenie parę sukienek, które wzięła ze sobą z domu, trochę ubran po ojcu. Potem oddała też swoją własną biżuterię, jakiś pierścionki i kolczyki. To wszystko wymieniało się z miejscowymi ludźmi, żeby mieć co jeść. Potem jak się te zasoby wyczerpały trzeba było żyć już tylko z wody i z lasu. Zresztą tamtejsi ludzie też skromnie żyli, nie mieli jakiś wielkich zapasów żywności. R A że przyszły ciężkie czasy to wszyscy musieli żyć przede wszystkim z tajgi i pobliskich rzek. Rzeki były tam dwie:

Ułyjka i Czującym - dopływ Obi. Były one dość duże, a przede wszystkim bardzo czyste i bardzo zarybione. Ludzi na tych terenach było natomiast mało. Jak mnie uczono w części europejskiej ZSRR wynosiło ono 75 osób na km², a w części azjatyckiej odwrotnie - ~~na~~ 1 człowiek przypadał na 75 km². Lowiło się więc ryby. Stanowiły one niemal podstawę naszej kuchni. Przeważnie nie było tłuszczu, więc najczęściej gotowało się tzw. "uche" - czyli zupę. ^{Czasem ryby były pieczone} ~~ze zdobyciem tłuszczu~~ na ognisku, albo na patelni, ale na wodzie, bo ~~z~~ były faktycznie trudności. Sól braliśmy od bydła, bo dla bydła dawali, sól do lizania, żeby lepiej piło i nie traciłomx na wadze. Dzięki bydłu mieliśmy więc sól, która była właściwie naszą jedyną przyprawą. Jak czasem udało ^{się} zdobyć gdzieś owies, to był już pełny luksus. Owies sypało się na ~~na~~ blachy kuchenek, przypalało się go a potem łuskało. To był nasz rarytas. Można było też przygotowywać owies na "sarnach". Miałem już 13- 14 lat, więc sam je już robiłem. Podpatrzyłem jak robili to Rosjanie i zmontowałem coś takiego dla nas. Sarna te służyły do mielenia owsa i owoców czwremchy (były to kiście dzikiego bzu - takie długie, czarne, słodkie jagody). Z czeremchy ~~rakia~~ wyrabiało się wtedy niemal wszystko. A rosło tego na tych terenach dużo. Zbierało się więc tą czeremchę, potem te kiście się suszyło, a na końcu mielilo na sarnach. Z czeremchy można było piec placki albo gotować słodkowatą kaszę. Mieliśmy więc prawie urozmaicone jedzenie, bo trochę ryb, trochę chleba i przetwory z czeremchy. Tak nam się żyło, ciężko ale jakoś dawaliśmy sobie radę, wielką rzecz wtedy się nauczyłem. Była to prawdziwa szkoła życia dla młodego chłopaka.

Zaczęły pojawiać się jakieś głosy, że niedługo znowu przyjdzie NKWD, że Polacy będą mieli wolność. Do tej pory nie wolno nam było przecież nawet chodzić do pobliskiej wioski. Wtedy właśnie przyjechał ~~z~~ ale tym razem już tylko jeden człowiek z NKWD. Znowu odczytano nam paragraf. Nowy z ukaz mówił, że mamy takie same prawa jak każdy

obywatel Związku Radzieckiego, Możemy poruszać się, zmieniać miejsce postoj, miejsce pracy. NKWD-ista wygłosił to i odjechał. Wśród Polaków przebywających w zagodskocie było dwóch mężczyzn, w wieku około 40 lat. Obaj ci mężczyźni po ogłoszeniu tego aktu poszli do Armii Andersa, która powstała w ZSRR. Po jakimś czasie zaczęły przychodzić od nich listy - z Iranu, Iraku! Pisali, że niedługo wojna się skończy, że wrócimy do kraju. Te listy od nich podtrzymywały nas na duchu,

Moja matka ~~nie~~ jeszcze przed wojną będąc panną, jak to bywa wśród młodych dziewczyn, bawiła się z koleżankami we wróżenie. Po prostu z koleżankami wróżyły sobie z kart. Na tej dalekiej Syberii przypominała sobie o tym, że umie trochę wróżyć. Akurat czas był sprzyjający takim sprawom. Mężczyźni byli na wojnie, każdy chciał wiedzieć jak to dalej będzie, czy mężowie, narzeczeni wrócą z wojny szczęśliwie. Była tam taka miejscowa Rosjanka - Olga. Jej mąż był na wojnie a ona została sama z dwoma małymi córeczkami. Matka zaczęła wróżyć najpierw sobie i tej miejscowej koleżance - Oldze. Powoli sprawa się rozkręcała. Przychodzili różni ludzie i wróżyli sobie u matki. Zawsze ktoś tam coś przyniósł. Na tym też trochę się skorzystało.

Po ukazie pozwalającym poruszać się po ZSRR zaczęliśmy chodzić do Bolszego Ułuja. Matka porozmawiała tam z Anną Jakowlewną Komlewą, która była dyrektorką szkoły średniej w tej miejscowości. Ta pani powiedziała, żeby matka przyszła do niej do pracy - do szkoły jako woźna - sprzątaczką. Matka przystała na to, tym bardziej, że był to bardzo ciężki okres. Dawali nam już tylko po 200 gram dla pracującego i po 100 gram dla "iziwienca", czyli dla człowieka, który nie pracował. My razem dostawaliśmy więc tylko 400 gram chleba dziennie dla całej trzyosobowej rodziny. Tak więc matka została sprzątaczką w szkole. Dzięki temu dostaliśmy domek, który stał przy szkole. Było to właściwie pomieszczenie gospodarcze, ale dla nas po zagodskocie wydawał się być prawdziwym domem.

W każdym razie mieliśmy tam już łóżka. Domek ten miał co prawda tylko jeden pokój, ale mieszkaliśmy tam już sami - tylko we trójkę, nie było więc ciasno. Jak wspomniałem mieliśmy tylko 400 gram chleba dla nas trojga. Trzeba było więc coś wykombinować. Matka poprosiła wtedy, żeby może i mnie wziąć do pracy w szkole. Nie byłbym wtedy "izwiencem", więc dostawałbym 200~~g~~ g chleba. Pani Anna zgodziła się. Znalazła dla mnie zajęcie. W szkole były dwa konie - nimi się zajmowałem. Ale moim głównym zadaniem było wozić z tajgi drzewo i wodę z Czułymu (latem jeździłem wozem a zimą saniami). Najgorza była zawsze zima. Zimy były tam bardzo ostre. Mrozy dochodziły do minus 40 stopni. Wtedy przywożenie wody z Czułymu było co najmniej kłopotliwe. Musiałem jechać 3 kilometry do rzeczki i z przerębli ~~накхнаххххх~~ wyrabanej w Czułymie nabrać wody. Wszystko było dookoła niemal obrosnięte lodem, trzeba było to tłuc. Nabierałem ^{się} kubkiem na kiju wodę, na wierzch sypało się śniegu, żeby woda nie wylewała się z beczki. Potem koń ciągnął ~~pod~~ sanie pod górke, więc woda się wylewała. Wszystk~~o~~ odżywiście natychmiast zamarzało. Czasem nawet beczka spadała z sań, wtedy trzeba było robić wszystko jeszcze raz. Czasami ~~trzeba~~ ^{zeby} wjechać pod tę górke trzeba było nawet 3 - 4 razy próbować, aż wreszcie udało się.

Potem pani Anna namówiła matkę, żeby p~~o~~ściła nas do szkoły. Była tam także pani Margerita Marko~~wna~~ - Niemka pochodząca z nadwołżańskiej republiki - która uczyła niemieckiego w tej szkole. Ta kobieta także namawiała matkę, żeby posłać nas do szkoły. Tak więc zaczęliśmy chodzić z siostrą do normalnej rosyjskiej szkoły. Ukończyłem w niej 7 klas, a moja siostra 5. Mam nawet świadectwo z tej szkoły. Tak tam żyliśmy - przy szkole. Potem nawet moja siostra dostała tam pracę. Praca ta polegała na tym, że rozwoziła chleb dla całego personelu szkoły tzw. pracowników technicznych. Dzięki temu także i ona mając zajęcie zaczęła dostawać 200 a nie 100 gram chleba dziennie. Tak więc uczyliśmy się i pracowaliśmy jednocześnie. Pamiętam, że często

pani Wala - "zawiedieuszczaja gospodarczą" - przybiegała na lekcje i prosiła nauczycielkę, żeby mnie puściła z lekcji bo: np. "nado derewo nawiesti albo wody prawiesti". Leciałem wtedy z lekcji, zakładałem konie i jechałem po wodę, po drzewo, czy czasem po siano - przywoziłem to co było akurat potrzebne. Złatwiałem po prostu gospodarcze sprawy w szkole. Latem jeździło się tam do tajgi, rąbało się drzewo, układało w piramidy, żeby drzewo przeschło, a zimą jeździło się po to wcześniej przygotowane drzewo. Oczywiście zimą jeździło się saniami. Śniegi były bardzo duże. Koń bardzo często wpadał w ten śnieg aż po brzuch i nie mógł stamtąd się wydostać. Trzeba było wtedy go podciągać, on się męczył ja nie zawsze od razu mogłem dać sobie radę. Różne perypetie miałem zimą. W tajdze nie można było zimą normalnie chodzić. Trzeba było mieć takie buty - ala narty, tzn. deski, które były chyba pięciokrotnie szersze jak normalne narty. Tylko w ten sposób można było chodzić po śniegu i wogóle się poruszać. Drogi tworzyło się na śniegu, na ubitej powierzchni. Raz, drugi jechało się tą samą trasą i robiła się twarda warstwa na wierzchu całej tej śnieżnej góry. Najprzyjemniej było latem, jak się jechało na sianokosy. Miałem w szkole takie mechaniczne grabie i mechaniczną kosiarkę do koszenia trawy. Często różne patyki wpadały mi do środka i noże się im łamały. Trzeba było wtedy iść do kowala. On zgrzewał to popularnie - na gorąco. Ale to były drobiazgi i tak było przyjemnie. Budowało się w tajdze szałas i tam mieszkało się. Czasem po dwa - trzy tygodnie nie wracaliśmy do domu. ^{Kosiło się} ~~Kosiliśmy~~ siano, potem się je suszyło i układało w stogi. A zimą przywoziło się z tych stogów siano. Jak widać latem wszystko było przygotowywane na zimę, zimą więc jechało się po wysuszone ^{na opał} drewno i siano dla krów. Miałem też jedną nieprzyjemną przygodę. Była ona związana z moją pracą w szkole. Kiedyś dyrektorka szkoły wysłała mnie po jakąś nauczycielkę, na daleką, zapadłą wieś. Trzeba było przywieźć tę nauczycielkę, bo miała ona zacząć pracować w naszej ~~szkole~~ szkole.

Trzeba było też przewieźć jej rzeczy. Pojechalismy w dwa konie - dwoje san. Jechalismy dlugo. Zlapala nas noc. Moj kon wpadl w jakis row, nie mogliemy go stamtad wyciagnac. Bokami byly wilki. Mróz byl trzeszczacy. Bylo strasznie. Zupełnie wykończeni, po perypetiach z koniem dotarlimy wreszcie do tej wioski. A tam chałupiny oświetlone luczywem, w izbie ciemno, ponuro. Na dodatek tacy straszni ludzie - sami kołmocy, czyli ludzie o mongolskich twarzach, oczach przeciętych szyletką". Dali nam takiego smierdzącego, szłatego samogonu na rozgrzewkę, bo byliemy potwornie przemarznięci i wykończeni podróżą. Rano załadowalismy ^{necy} (nowej nauczycielki na sanie i wróciliemy szczęśliwie do domu. Taka to byla przygoda.

Ubrania tez wtedy czlowiek nie mial. Trzeba bylo sporo kombinowac, zeby miec w czym chodzic. Matka szyla nam spodnie z map szkolnych, tzn. z materialowego podkladu do map. Trzeba bylo wybierac do tego w miare nie zniszczone mapy. Mielismy ~~za~~ tez szyte kufajki. Byly one szyte z waty. Watę okladalo sie materialem i zszywalo. Nosilismy tez czapki - uszatki. Byly one bardzo popularne w Rosji. Nie dalo sie wytrzymac w innych, trzeba bylo miec osloniete uszy, bo inaczej to by chyba poodpadały przy tym 40 stopniowym mrozie. Kazdy musial miec tez pimy. Byly to walonki bite z wełny. W zadnych innych butach czlowiek by nie wytrzymal. Zyjac w tajdze trzeba bylo miec pimy. ~~Wxi~~ Wszyscy je nosili. Niestety one tez sie zdzieraly. Trzebaly je podszywac. A niemal wszystko robilo sie, we własnym zakresie, samemu. Dratwę tez musialem robic sam. Nici robilo sie z lnu, który smarowalo sie smołą, albo zywicą. Szylo sie igłami robionymi z drutu - tez oczywiście we własnym zakresie. Pimy szylo się więc tymi dratwami i igłami własnej produkcji. Szyłem i reperowalem buty zarówno sobie jak matce i siostrze. Byłem takim nadwornym szewcem. Každę tam musial tak sobie radzic. wiadomo, ze nie bylo zadnych punktów uslugowych. Najtrudniejszym do przetrwania okresem byla zima trwajaca tam dosyc dlugo.

Jak to zartują - osiem miesięcy to zima, a reszta to lato i lato. Następuje bardzo raptowne ochłodzenie, spadają duże śniegi. Potem przychodzą mrozy i wszystko to co określa się jako klimat kontynentalny, czyli czyste niebo, słońce i mróz. Są tam trzymetrowe zaspy, kopie się tunele i tworzy w ten sposób zimowe drogi - chodniki. Wszystko jest obmarznięte. Dopiero gdzieś pod koniec kwietnia następuje raptowne ocieplenie. Dosłownie w tydzień - dwa wszystko leci, śnieg się roztopia i nastaje piękna wiosna. Od razu wszystko odżywa. Bardzo szybko zaczynają kwitnąć kwiaty, pojawiają się jagody, porzeczka, maliny, szyszki i orzechy kiedrowe, czyli wszystko to co stanowi pokrzywienie dla ludzi tam syjących. Niestety tajga żywiła nas tylko latem, dlatego zima była o wiele trudniejsza do przetrwania i trzeba było radzić sobie inaczej.

Pewnego razu nasza miejscowa znajoma - Olga zauważyła, że w magazynie niedaleko szkoły, wyleciało trochę zboża. Budynki były robione tam z drewna na tzw. zakładki i były przekładane mchem. W jednym miejscu mach między balami wytarł się i tą szparą wylatywało zboże. Olga wzięła więc patyk i ruszała tym patykiem, żeby zrobić jeszcze większą dziurę. Wtedy zboże zaczęło sypać się obficie. Podstawiła więc szmaty, potem wystrugała jeszcze większy patyk i w ten sposób powstał strumyk jęczmienia. Wygarnęliśmy wtedy tego jęczmienia chyba ze trzy worki. Potem mieliło się go na żarnach i gotowało kisiel, smażyło różnego rodzaju placki - to był na prawdę raj. Kisiel z jęczmienia albo owsa to może nawet dzisiaj bym zjadł ze smakiem. Kisiel ten robiło się w następujący sposób: najpierw grubo mieliło się ziarno, później było to gotowane i powstawało z tego coś takiego jak mleko. Jak to zgęstniało to robił się kisiel. Było to bardzo fajne jedzenie.

Wogóle muszę przyznać, że życie zmuszało nas do bardzo różnych rzeczy, których pewnie w normalnych warunkach byśmy nie robili. Na przykład moja siostra ~~ka~~ poszła kiedyś do wsi, żeby coś kupić, czy wymienić. Patrzy przy takiej jednej chałupie nie ma nikogo, a na stole

leżą dwa bochenki chleba. Rozejrzała się więc, nikogo nie było w okolicy, więc wzięła szybko ten jeden bochenek chleba. Wyszła już na drogę, patrzy a z ubikacji wychodzi chłop, podciąga spodnie i idzie do chałupy. Na szczęście udało jej się uciec. Jak przyszła do domu to mieliśmy prawdziwą wyzerkę.

Chciałbym ~~xxx~~ też opowiedzieć też moją przygodę z kinem z tego okresu. Przyjeżdżało do nas objazdowe kino. Było to nieme kino, bo nie było tam prądu. Przyjeżdżał taki kinomechanik - Kolia, który miał a aparat filmowy i takie dynamo, którym trzeba było kręcić. Oczywiście nie mieliśmy pieniędzy - nawet tego pół rubla, żeby pójść do kina. A ponieważ kinomechanik brał chłopaków do kręcenia dynamem. A jak już się kręciło tym dynamem przez jeden akt, to za darmo oglądało się cały film, Między innymi i ja biegałem tam. Trzeba było równo kręcić dynamem, żeby było równe napięcie na ekranie. Ja podobno dobrze kręciłem. Dzięki temu pan Kolia pozwalał mi nawet czasem przyjść do aparatu - tam gdzie przekręca się film. Była to już wyższa szkoła jazdy. W ten sposób zostałem prawą ręką kinooperatora Koli. Zawsze jak przyjeżdżał do Balszego Ułuja - do szkoły to pracowałem jako jego prawa reka : sprzedawałem bilety, wynajmowałem chłopaków do kręcenia dynamem. W ten sposób polubiłem kino. Wykorzystałem zresztą to w przyszłości... [Bedąc w wojsku, już w Polsce odbywając zasadniczą służbę wojskową, zrobił kurs kinooperatorów.]... Wtedy były to już dosyć dobre czasy. Najgorzej było na początku - w "zagodskocie", gdzie mieszkaliśmy zaraz po przyjeździe z Acińska. Właściwie można powiedzieć, że zmieniło się to wszystko dopiero po ustawie pozwalającej nam poruszać się po terenie ZSRR. Wtedy dopiero przenieśliśmy się do szkoły i wogóle ludzie rozproszyli się po okolicy i nie tylko. Życie było ciężkie, ale widać byliśmy zdrowi, jak się okazuje no i odżywiście młodzień i przeżyliśmy to wszystko nie najgorzej. Była też dziwna sprawa z moją matką. Pamiętam, że przed wojną miała ataki kamieni żółciowych, jak tylko coś zjadła

to zaraz miała atak. Trzeba było wtedy przykładać różne gorące rzeczy. Miała nawet iść na operację. Wybuchła wojna - nastąpiła więc ostra dieta. Potem jak nas wywieźli na daleki Sybir, to była całkowita dieta. Do tej pory matka mówiła, że z tych wszystkich dolegliwości wyleczył ją Stalin, bo na stalinowskich czasach wszystko jej przeszło. Pierwszą "kutacją" miała miejsce już w czasie transportu, bo wagony były zamykane, nie było możliwości wychodzenia i tylko dostawaliśmy tę zupinę, o której już mówiłem albo wrzątek. Następna dieta była w "zagodskocie", trochę lepiej było w Bolszom Ułyju, ale też z jedzeniem było krucho - jak powiadałem.

Z rodzin wywiezionych wraz z nami - tym samym transportem miałem kontakt potem tylko z tymi pięcioma rodzinami, z którymi byliśmy razem w "zagodskocie", bo reszta rozwieziono po kraju. Potem w drodze powrotnej byli oni niejako zbierani tzn. w Aczińsku w drodze powrotnej miał pociąg 5 wagonów, a jak dojeżdżaliśmy do Polski, to był już bardzo długi. Z tym, że w drodze powrotnej to był już wagon sanitarny, żywnościowy - całe zaopatrzenie UNR-owskie.

Dostawaliśmy paczki, wyżywienie - wszystko amerykańskie. W tamtą stronę tych luksusów nie było - tym bardziej odczuwaliśmy te różnice. Po przyjeździe do Aczińska posprzedawano nas po prostu do kołchozów, kopalni, przedsiębiorstw. My trafiliśmy ^{w miarę} dobrze.

Najprawdopodobniej dlatego, że byliśmy dwójką, dzieci z matką. W "zagodskocie" mieszkaliśmy cały czas z pozostałymi czterema rodzinami. Mieliśmy dobre kontakty, razem martwiliśmy się, razem żyliśmy, mieliśmy wspólne troski, razem ~~na~~ mieliśmy nadzieję na powrót do kraju.

Zyliśmy tam mając różne wiadomości, czytając gazety, bo prasa tam była. Jakies gazety zawsze Rosjanie mieli, więc wieści o tym, co się na świecie dzieje, jak toczy się wojna mieliśmy. Były normalne komunikaty wojenne - jakie są działania wojenne, jaka jest sytuacja na froncie, jak wszystko przebiega. Nie byliśmy więc całkiem

odcięci od świata. Rosjanie podawali jak oddawali swoje miasta, jak przegrywali: np. ze odstąpili od Kurska, potem opuścili Orzeł. Mówili jak wojska biły się nad Wołgą - był to najgorszy moment. Pamiętam, że było dużo żałoby i zmartwienia wśród ludzi spowodowanego tym, że Niemcy są nad Wołgą. Wszystko wtedy ludzie robili dla: "rodiny, dla победы, dla Stalina" - było tak nawet w tym naszym małym miasteczku. Ludzie, którzy pracowali dla wojska - szyli pimy dla żołnierzy - działali dzień i noc.

Dorośli często rozmawiali o wojnie. Podstawowym tematem była sytuacja na froncie. Często zastanawiali się, kiedy skończy się wojna, nędza i bieda. Tym wogóle kontakty między Polakami były dobre. Jedno co trochę się nie podobała innym, to to, że my chodziliśmy do szkoły rosyjskiej. Inni Polacy nie puszczali swoich dzieci do szkoły, mimo namów ze strony Rosjan, bo oni nawet chętnie by nasze dzieciaki przyjęli. Natomiast większość Polaków mówiła, że posłać dzieciaki do szkoły dopiero w Polsce. Mieli trochę za złe naszej matce, że jakby rusyfikuje przez to swoje dzieciaki. Matka tłumaczyła się tym, że ona tam pracuje, my też mamy przy szkole zajęcia. Poza tym matka uważała, że jest to dla nas jakaś okazja, bo przecież po powrocie będziemy już prawie dorośli i będzie trudno zaczynać naukę niemal od początku, a przecież matematyka, fizyka - wszystko jest takie samo we wszystkich szkołach. Był to jedyny punkt sporny z innymi. Poza tym kontakty były bardzo dobre. Bardzo miłe wspominałam kontakty z rodziną Bildziukiewiczów. Chciałbym kiedyś się z nimi spotkać. Kontakt się z nimi urwał, bo jak dostaliśmy pozwolenie na poruszanie się po kraju to Irena i Czesław poszli do Pierwszej Dywizji Kościuszkowców. Była to wtedy głośna sprawa. Jak przycichła sprawa Armii Andersa to rozwinęła się sprawa Wandy Wasilewskiej. Wszyscy bez przerwy mieli na ustach to imię. Wszyscy mówili, że Wanda Wasilewska to zbawienie dla Polaków, więc jak doszły wieści o tym, że powstaje Pierwsza Dywizja Kosciuszkowców to rodzeństwo Bildziukiewiczów wyruszyło. ~~Pótem przysyłał~~

Potem przysyłałi listy spod Siedlc. Dzięki temu wieździeliśmy jak to wszystko przebiegało, jak oni się tam szkolili, jak wojowali na terenie Polski. Bildziukiwicz pisali, że niedługo my też wrócimy do Polski.

Nastak wreszcie czas kiedy rozdawali w Sielsowiecie tzn. w miejskim biurze wizy wyjazdowe i organizowali w mieście Aczińsk transport. Pamiętam jak wszystkim rozdali wizy, a my nie dostaliśmy. Bardzo się zdenerwowaliśmy. Matka natychmiast poszła do sielsowietu. Tam powiedziała jej, że nasza sprawa jest w NKWD. Więc matka poszła do NKWD. Tam jakiś NKWD-ista powiedział, żeby udowodnić, że jesteśmy Polakami. Chciał, żeby mu pokazać akt ślubu, albo jakikolwiek dokument w którym byłoby napisane, że jesteśmy Polakami. Zarządał, żeby udowodnić obywatelstwo polskie, a przecież jak nas wywozono to wszelkie dokumenty zostały zniszczone. Nie mieliśmy więc nic. Matka opowiadała potem, że padła mu do nóg, całowała jego buciory błagając, by dał nam wizy wyjazdowe. NKWD-ista przekonywał jeszcze matkę, żebyśmy zostali, bo dzieci uczą się dobrze, wszyscy pracujemy i, że nie mamy po cã jechać do Polski. Ale matka była wytrwała. Poszła tam ~~już~~ jeszcze raz, za jakies dwa - trzy dni, znowu całowała go po butach i wreszcie dał nam te kartę. Podobno jak się rzuciła na kolana to wyjął z szuflady wizę wyjazdową i dał ją matce. Była to zima 1946 roku - chyba luty.

Po uzyskaniu wizy szybko zebraliśmy się i pojechaliliśmy do Aczińska, skąd miał iść transport do Polski. Przyjeżdżamy na stację, a tam jeszcze nic nie ma. Panuje wielki bałagan, nikt nic nie wie. Na szczęście spotkaliśmy tam takiego chłopaka, którego rodzice wykładali na Uniwersytecie w Aczińskiu i on nas zabrał ze sobą - po prostu przygarnął nas. Mieszkaliśmy u tych ludzi jeszcze przez dwa miesiące. Trzeba zresztą przyznać, że często spotykaliśmy się z życzliwością tamtejszych ludzi. Nie można powiedzieć, żebyśmy zaznali od nich jakiś krzywd. Oni też byli biedni i tacy poczciwi. Ciężko im się żyło.

Rolnictwo tam było słabo rozwinięte, właściwie był tylko przemysł drzewny, trochę myśliwstwo. Ludzie trudnili się tam trochę kłusownictwem, część pracowała przy szyciu butów dla wojska i suszeniu dla zpińierzy ziemniaków. Ludzie tam często biedowali. Ci ludzie z Aczińska też pomogli nam bezinteresownie.

Transport zorganizowano jakieś dwa miesiące później - chyba około (1946) kwietnia. Po tym długim oczekiwaniu podstawali wagony. Powstała duża pomoc. Opiekowała się nami UNRA. Dostawaliśmy wyżywienie, ubranie - pamiętam, że dostałem angielski mundur. Dostawaliśmy konserwy, czekolady. I tak, w takim luksusie jechaliśmy przez dwa tygodnie do Polski. Mieliliśmy już też dokumenty, bo wszyscy dostaliśmy taki paszport - wizę. Jedną część była napisana po rosyjsku i tę oderwali nam w Brześciu na granicy, bo była dalej nie potrzebna. Druga była napisana po polsku. To były nasze jedyne dokumenty jakimi dysponowaliśmy po powrocie do kraju. Potem po powrocie wyrabialiśmy wszystko przez sąd: akty urodzenia, dowody, akty ślubu. Załatwialiśmy to w centrali dla repatriantów w Urzędzie Stanu Cywilnego w Łodzi.

Tym transportem dotarliśmy do Polski. W drodze powrotnej w Baranowiczach spotkał nas wujek Kazik. Dowiedzieliśmy się, że walczył w Drugiej Armii Polskiej u Świerczewskiego. Wujek mówił nam, że dostał przydział na ziemiach zachodnich - gospodarstwo. Potem jakiś kontakt z wujkiem urwał się. Cały nasz transport ze Związku Radzieckiego wieźli na Ziemię Odzyskaną - na zachód, bo trzeba było zaludnić te tereny. Ale my nie byliśmy nigdy do ziemi przyzwyczajeni, nie bardzo wyobrażaliśmy sobie jak tam żyć! Ja byłem jeszcze młody chłopak - miałem 17 lat, siostra - 15 lat. Trudno byłoby prowadzić gospodarstwo matce z dwojką, dosyć młodych jeszcze dzieciaków. Poza tym ojciec był z Warszawy, więc tutaj była jego rodzina (i jego bracia i siostry). Chcieliśmy więc zatrzymać się w Warszawie. Był jednak z tym problem. Nikt nie chciał puszcząć do Warszawy. Pamiętam,

ze w PUR-ze w Łukowie - była to stacja, w której dość długo stał nasz transport - nie chcieli nam na to pozwolić. Ale jechała u nas w wagonie żydowska rodzina! Był wśród nich młody - 30 letni człowiek, który bardzo mnie polubił. Powiedział więc, że jakós to załatwi. A oni mieli już wagon jadący do Warszawy. I faktycznie zabrał nas ze sobą. Po cichu wyładowaliśmy się z wagonu jadącego na Ziemię Odzyskaną i przesiedliśmy się do tego, który jechał do Warszawy. ~~Dotarliśmy~~

Dotarliśmy do Warszawy 6 maja ¹⁹⁴⁶ ~~1946 r.~~ na Dworzec Zachodni. Tam był PUR - Państwowy Urząd Repatriacyjny. Zaczęliśmy pytać się o ulicę Kijckiego, bo tam kiedyś mieszkała ojca rodzina. Początkowo nikt nic nie wiedział. Wreszcie kobieta, która sprzedawała tam jajka wiedziała gdzie to jest i obiecała przekazać, że my tu jesteśmy. Faktycznie po jakimś czasie (chyba po dwóch tygodniach) pojawił się stryj Ziutek. Zabrał nas do siebie. Ale oni też nie bardzo mieli gdzie mieszkać. Ugościli nas tego wieczoru, ale na stałe to nie pomieścilibyśmy się. Chodził tam jakiś kolejarz, który miał dom. Dom ten był co prawda do połowy spalony, ale w piwnicy miejsce się dla nas znalazło. Zamieszkaliśmy więc na Szczęśliwicach. Potem siedzieliśmy trochę u jakiegós ogrodnika. Zaczęłem chodzić do roboty. Początkowo pracowałem na budowie, bo przy Dworcu Zachodnim budowała się parowozownia. Pracowałem tam jako zbrojarz - wiązałem druty.
- pan Kuglik
Potem pewien kolejarz namówił mnie, zebym poszedł do szkoły, zeby uczyć się na tokarza. A przed wojną tokarz to był ktoś, więc szybko dałem się namówić. Poszedłem do Szkoły Zawodowej w Ursusie. W szkole oczywiście od razu zapytali mnie o świadectwo ze szkoły. Pan dyrektor był zaskoczony tym skąd mam świadectwo, ale od razu kazał mnie przyjąć. Inni początkowo nie wiedzieli o moich kolejach losu. Wszystko wydało się na lekcji jez. rosyjskiego. Wydało się, że znam rosyjski i wtedy nauczyciel od tego przedmiotu o wszystko się wypytał. Już do końca szkoły byłem jego jakby zastępcą. Koledzy jak to chłopaki czasem nazywali mnie "kacapem" albo jakims innym, ale

były to zwykłe zaczepki jak to bywa wśród młodzieży. W ZSRR też tak było, że jedni mnie zaczepiali a inni stawali po mojej stronie. Tutaj było tak samo. Po tej szkole ukończyłem Technikum Mechaniczne. Jestem więc z zawodu - technik mechanik.

Wogóle nie mogę powiedzieć, żeby to zesłanie wpłynęło jakos' negatywnie na moje kontakty i stosunki z ludźmi. Może dlatego, że nie znalazłem zła od tych ludzi. W dużej mierze byli to też ludzie kiedyś zesłani na Sybir, albo już ich potomkowie. Byli tak samo biedni jak my. Tak jak my żyli z wody i tajgi. Poza tym byli to pogodni ludzie. Pamiętam jak jechaliśmy na sianokosy to zawsze było wesoło, wszyscy śpiewali. Mimo, że była wojna oni potrafili być w miarę pogodnie. Tej pogody ducha od nich się nauczyłem.

Wpłynęło na mnie bardziej to co działo się po powrocie. Coś jednak ciąży na człowieku. Po pobycie na Syberii, po wywóźce i powrocie coś we mnie zostało. Przez wiele lat człowiek czuł się przytłumiony. Bał się odzywać gdzie był, opowiadać ^{o swoich przeżyciach} szczerze, ponieważ od razu były jakies' podejrzenia. Jak się wypełniało ankiety w wojsku czy potem w pracy to od razu człowiek wyczuwał że uważali za podejrzanego to, że było się na Syberii. Zaraz wypytywano się: za co byłeś na Syberii, ^{byłeś wysiedlony} dlaczego wysiedlony, kim był twój ojciec - może jakimś obszarnikiem albo generałem albo innym wysokim urzędnikiem. Zawsze człowiek bał się o tym mówić, był w strachu. Odbiło się to trochę na życiu.

Przede wszystkim na wykazywaniu swoich możliwości. Człowiek starał się siedzieć cicho i jak to się mówi - nie wychylać się. Żył się więc spokojnie, bez zrywów, specjalnej działalności, nie wykazując aktywności. Niestety było spowodowane to tym, że słyszało się jakie mogły być konsekwencje dla takich ludzi jak ja.

Bildziukiewiczze- jedna z rodzin mieszkających w "zagodskocie" - punkcie spędu bydła. Mieszkali i pracowali razem od połowy 1941 do połowy 1942 roku.

Irena Bildziukiewicz - najstarsza córka państwa Bildziukiewiczów. Poszła do Pierwszej Dywizji Kościuszkowców, służyła potem w Batalionie Fizylierek, dosłużyła się stopnia kapitana. Przeżyła wojnę, potem wyszła za mąż. Ma teraz około 65 lat.

Czesław Bildziukiewicz - starszy syn Bildziukiewiczów, także wytuşył do Kościuszkowców. Nie żyje, zginął w 1945 roku na Przyczółku Czerniakowskim.

Zbyszek Bildziukiewicz - najmłodszy z tej rodziny. Najprawdopodobniej żyje, ale losy jego nie są znane autorowi.

Jakubowscy - jedna z rodzin mieszkających razem w "zagodskocie".
pan Jakubowski
W 1942 roku poszedł do Armii Andersa. Dalsze losy nie są znane autorowi.

Anna Jakowlewna Komlewa - Rosjanka, dyrektorka szkoły w miejscowości Bolszoj Ulyj. Po 1942 roku pomogła Burzyńskim przetrwać, dała mieszkanie, umożliwiła pracę matce autora i dzieciom a także naukę w szkole.
Pan Burzynski utrzymuje stały kontakt listowny, teraz
pana Burzyńskiego
zaprosiła ~~na~~ do ZSRR.

Margerita Markowna - nauczycielka jez. niemiedkiego. Niemka z pochodzenia.

Rodzina Poleć- ludzie mieszkający razem w "zagodskocie".

Pan Poleć także poszedł do Armii Andersa.

Roman Burzynski	! syn urzednika	! Niemen nad rzeka
	! teraz technik mecha	! Niemen
	! -nik, ur. w 1929 r.	!
2, 3, 4, 7, 12, 15	! 1939 - 1946	! Niemen, Baranowicze,
	!	! Aczinsk, Bolszoi Ulyj
Pobyt na zesłaniu	!	! Joanna G. Warszawa
	!	! 1V 1989 Warszawa

Sytuacja rodzinna do 17.09.1939. Wkroczenie Rosjan do miejscowosc
NIemen, wykwaterowanie ludności. Autor przenosi się z rodzina do
~~Baranowicz~~ Stołowicz koło Baranowicz. Pierwsza wywózka Polaków-
luty 1940 rok. Wywózka autora - połowa czerwca 1941 r. Transport
środkiem Rosji do miasta Aczińsk w Krasnojarskim Kraju. Praca w
"zagodskocie" - punkcie zbiorki bydła, zakwaterowanie w tajdze,
zakaz poruszania się, zmian pracy. Wydzielone głodowe porcje
chleba. W połowie 1942 roku przywrócenie pewnych praw - zniesienie
zakazu poruszania się. Autor przenosi się do pobliskiego miasta-
Bolszego Ułuja. Praca i nauka w szkole rosyjskiej. Organizacja
transportu powrotnego. Repatriacja do Polski.

23 str.

1. Swiadectwo ukonczenia siedmiu klas
! w szkole w ZSRR.

2. Swiadectwo pracy

Roman Burzynski zam. Warszawa ul. Garwolińska 4 m 50

tel. domowy 610-12-86 tel. do pracy 19-22-41 w 191

R. Burzynski

Niemen nad rzeką Niemen -- pobyt przed wybuchem wojny

do października 1939

Stołowicze -- pobyt u wuja do czasu wywózki -- do czerwca 1941

Smoleńsk, Tuła

Kujbyszew, Czelabińsk

}

przejazd m. czerwiec -- lipiec 1941
miejsca większych postojów w drodze
do Aczińska. Krasnojarskim Kraju

"zagodskocz" koło Aczińska -- pobyt, praca w punkcie spędu bydła

od lipca 1941 do połowy roku 1942

Bolszój Ułuj -- pobyt, praca i nauka w rosyjskiej szkole

do 10 stycznia 1946

Aczińsk, Baranowicze, } Brześć droga powrotna do kraju

Brześć, Warszawa

}

czas przejazdu -- luty -- maj 1946.



НАРОДНЫЙ КОМИССАРИАТ ПРОСВЕЩЕНИЯ

СВИДЕТЕЛЬСТВО

НАСТОЯЩЕЕ СВИДЕТЕЛЬСТВО ВЫДАНО *Бушинскому*
Роману *Антоновичу*
(Фамилия, имя и отчество)

РОДИВШЕ В 1929 ГОДУ,

В ТОМ, ЧТО ОН ОБУЧАЛСЯ В *Б-Чушской*
СРЕДНЕЙ ШКОЛЕ *села Б-Чуш*
Б-Чушского района *Красноярского*
края (района и края-области-АССР) (села, города)

ОКОНЧИЛ СЕМЬ КЛАССОВ
ЭТОЙ ШКОЛЫ И ОБНАРУЖИЛ ПРИ *Отличном*
ПОВЕДЕНИИ СЛЕДУЮЩИЕ ЗНАНИЯ:

- ПО РУССКОМУ ЯЗЫКУ И ЛИТЕРАТУРНОМУ ЧТЕНИЮ *удовлетворительно*
- ПО АРИФМЕТИКЕ *удовлетворительно*
- ПО АЛГЕБРЕ *удовлетворительно*
- ПО ГЕОМЕТРИИ *удовлетворительно*
- ПО ЕСТЕСТВОЗНАНИЮ *хорошо*
- ПО ИСТОРИИ *хорошо*
- ПО КОНСТИТУЦИИ СССР *хорошо*
- ПО ГЕОГРАФИИ *отлично*
- ПО ФИЗИКЕ *хорошо*
- ПО ХИМИИ *хорошо*
- ПО ИНОСТРАННОМУ ЯЗЫКУ *(немец) удовлетвор.*
- ПО НАЧАЛЬНОЙ ВОЕННОЙ ПОДГОТОВКЕ *отлично*
- ПО РИСОВАНИЮ
- ПО ЧЕРЧЕНИЮ
- ПО ПЕНИЮ



1945 года
ДИРЕКТОР ШКОЛЫ *А. Кошарь*

УЧИТЕЛЯ: *А. Кошарь*
М. Кошарь
М. Кошарь

СССР
Министерство
Образования

СПРАВКА-ПОДТВЕРЖДЕНИЯ

Дана Бужинскому Роману Антоновичу **ИТМ**
в том, что он действительно учился и
работал в Большеулуйской средней школе
на разных работах с месячным окладом 85 руб.

Принят: с 6 июля 1944г. приказ № 64 § 5
от 5 июля 1944г.

Уволен: с 10 января 1946г. приказ № 137
от 10 января 1946г.

8.05. 1987г.

Директор школы: *Брянц Т.А.* /Брянц Т.А.

